

JACK REACHER

**NOWOŚĆ
2025**

LEE CHILD

ANDREW CHILD

TAJNY RAPORT

ALBATROS

Tytuł oryginału:
IN TOO DEEP

Copyright © Lee Child and Andrew Child 2024
Lee Child and Andrew Child have asserted their right under the Copyright,
Designs and Patents Act 1988 to be identified as the authors of this work
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2025

Polish translation copyright © Jan Kraśko 2025

Redakcja: Marzena Wasilewska

Projekt graficzny okładki oryginalnej Richard Ogle/TW

Ilustracje na okładce:

postać – © CollaborationJS; pozostałe – Getty Images, Shutterstock

Opracowanie graficzne okładki polskiej: Plus 2 Witold Kuśmierczyk

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
e-mail: kontakt@wydawnictwoalbatros.com
wydawnictwoalbatros.com



JACK REACHER

Imię i nazwisko: Jack Reacher

Narodowość: amerykańska

Urodzony: 29 października 1960 roku w Berlinie

Charakterystyczne dane: 195 cm, 99–110 kg, 127 cm w klatce piersiowej

Kolor włosów: ciemny blond

Kolor oczu: niebieski

Ubranie: kurtka 3XLT, długość nogawki mierzona od kroku 95 cm

Wykształcenie: szkoły na terenie amerykańskich baz wojskowych w Europie i na Dalekim Wschodzie, Akademia Wojskowa West Point

Przebieg służby: 13 lat w Żandarmerii Armii USA, w 1990 roku zdegradowany ze stopnia majora do kapitana, zwolniony do cywila w randze majora w roku 1997

Odznaczenia służbowe: Srebrna Gwiazda, Medal za Wzorową Służbę, Medal Żołnierza, Legia Zastugi, Brązowa Gwiazda, Purpurowe Serce

Ostatni adres: nieznany

Czego nie ma: prawa jazdy, dokumentu ze zdjęciem, osób na utrzymaniu

1

Najpierw poczuł ból, a potem usłyszał dźwięk, tak jak podczas burzy najpierw widać błyskawicę, a dopiero potem słyszać grzmot.

Ból pojawił się w prawym nadgarstku. Nagły, ostry, palący i tak silny, że przyćmił tępe pulsowanie wypełniające głowę. Natomiast dźwięk był jak pojedyncza okrągła, długo utrzymująca się nuta, która wybrzmiewa, kiedy metal trze o metal. Wyraźny, lecz błahy w porównaniu z dzwonieniem w uszach.

Ból i dźwięk zaatakowały, kiedy spróbował poruszyć ręką. Wiedział tylko tyle. Przedtem spał – nie, przebywał w miejscu głębszym i mroczniejszym niż sen – a kiedy wypłynął na powierzchnię, zalały go fale mdłości. Leżał na plecach. Ale nie w łóżku. Nie na ziemi. Na czymś gładkim. Sztucznym. I zimnym. Zimno przesączało się przez koszulę, wnikało w łopatki i wędrowało w dół kręgosłupa. Coś ostrego wrzynało mu się w łydki. Coś innego przygniatało

głowę. Chciał się podnieść i cofnął prawy łokieć. A raczej spróbował cofnąć. To jednak nie ból go powstrzymał. Coś opasywało nadgarstek i mógł go przesunąć najwyżej o pięć centymetrów. Trzymało mocno. Wgryzało się w skórę, lecz nie to bolało najbardziej. Najbardziej bolało przedramię. Coś było nie tak z kością. Chyba z więcej niż jedną. Odniósł poważny uraz. Bez dwóch zdań.

Spróbował poruszyć lewą ręką. Nie poczuł bólu, ale ją też przytrzymało w nadgarstku coś ostrego. Tak jak lewą kostkę u nogi. I prawą. Nie widział, co to takiego ani czym związano mu ręce, bo nie było światła. Ani odrobiny. Wszędzie panowała zupełna ciemność. A kiedy ustał ten przeciągły zgrzyt metalu, zapadła głucha cisza i powietrze stężało w martwym bezruchu. Nie miał pojęcia, gdzie jest. Nie miał pojęcia, jak się w to wpakował. Ale ktoś musiał go tu sprowadzić. I skrępować. Ktokolwiek to zrobił, bardzo tego pożałuje. To na pewno.

• • •

Podczas gdy Reacher balansował na granicy bytu i niebytu, mężczyzna stojący na poboczu drogi osiem kilometrów dalej wypatrywał dymu i ognia. Używał wielu nazwisk, lecz teraz przedstawiał się jako Ivan Vidic. Przy-sadzisty i trochę przygarbiony, sprawiał wrażenie niższego niż mierzący metr osiemdziesiąt pięć mężczyzna ze zdjęcia w jego prawie jazdy, a całkiem łysa głowa składała się z samych kantów, jakby wykuł ją z kamienia początkujący

rzeźbiarz. Jego samochód parkował przy drugim z trzech zakrętów. Miejsce to słynęło z licznych wypadków. Zakręty były ostre, położone blisko siebie i słabo oświetlone. Drogę oddzielały od stromej skarpy szerokie pobocze i zardzewiała barierka, a jezdnia na pierwszym zakręcie straciła prawidłowy profil. Miało to coś wspólnego z prastarymi złożami geologicznymi, które zapadając się, naruszały stabilność warstw skały macierzystej. A ta leżała zbyt głęboko, by dało się to naprawić, nawet gdyby znalazły się odpowiednie pieniądze. Ale w tych stronach pieniędzy wiecznie brakowało, więc Departament Dróg i Mostów wystawił po prostu kilka znaków ostrzegawczych i na tym się skończyło. Znaki nie zapobiegały wypadkom, lecz zatrudnieni przez hrabstwo prawnicy twierdzili, że mogą uchronić władze przed pozwami sądowymi.

Tego dnia rozbił się tu SUV. Lincoln navigator. Wypadł z drogi, ściął drzewo, przetoczył się trzy razy i wylądował na kołach. Miał wgnieciony dach. Pogiętą maskę. Powyginane drzwi i szyby zmętniałe od rozchodzących się promieniście pęknięć. Vidic widział, jak do tego doszło. Nie miał wyboru, bo jechał szybko tuż za lincolnem i nacisnął pedał hamulca w chwili, gdy ten wypadł z drogi. Zatrzymał się z poślizgiem, wysiadł i ostrożnie podszedł do wraku. Próbował wyczuć, czy w powietrzu nie unoszą się opary benzyny, i nadśluchiwał, czy z pękniętego przewodu albo baku nie kapie paliwo.

Lincoln był w złym stanie, ale jego kierowca w jeszcze

gorszym. Bo nie żył. Miał skręcony kark. Bez dwóch zdań. Vidic uśmiechnął się na ten widok. Nie takiego rezultatu się spodziewał. Ale mógł go z powodzeniem wykorzystać. Ba! To było jak odpowiedź na jego modlitwę. W głowie rozbrzmiało mu dalekie echo z dzieciństwa: „Bóg pomaga tym, którzy pomagają sobie”.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej i skupił uwagę na pasażerze lincolna. W pierwszej chwili pomyślał, że on też nadaje się tylko do kostnicy, ale dotknął jego szyi i wyczuł puls. Dlatego zmienił diagnozę: facet doznał jedynie wstrząśnienia mózgu i sądząc po sterczącej pod skórą kości, miał złamany nadgarstek. Ocaliła go postura. Był wielki. Nawet w tej pozycji – leżał oparty o drzwi – wyglądał na gościa mierzącego co najmniej metr dziewięćdziesiąt i ważącego sto piętnaście, sto dwadzieścia kilogramów. Same kości i mięśnie. Ani grama tłuszczu.

Vidic wezwał na pomoc paru kumpli i czekając na ich przyjazd, wyciągnął z wraku olbrzyma i kierowcę. Co kosztowało go sporo trudu. Głowa kierowcy kolebała się na wszystkie strony, a ciało było miękkie, bezwładne i trudne do uchwycenia. Ze względu na swoją budowę pasażer też dał mu do wiwatu. Ręce miał dłuższe niż nogi kierowcy, a nadgarstki tak grube, że Vidic nie mógł ich objąć. Mimo chłodu zasapał się i cały się spocił, i zanim usłyszał szum opon na asfalcie, zdążył jedynie obszukać pasażera i przenieść zawartość jego kieszeni do swoich.

Kumple przyjechali pick-upem, co okazało się

praktycznym wyborem, bo za nic nie zdołaliby wcisnąć nieprzytomnego pasażera na tylne siedzenie zwykłego auta. Był za duży. Zbyt nieporęczny. Nie mieliby miejsca na manewrowanie jego ciałem. Dlatego wciągnęli go na pakę i wrzucili tam też trupa kierowcy.

Ten, który prowadził pick-upa, nazywał się Darren Fletcher. Choć pięć centymetrów wyższy od Vidica, był szczuplejszy i dziesięć kilogramów lżejszy. Zatrzasnął klapy, spojrzał na niego i spytał:

– Widziałeś, jak to się stało?

Vidic kiwnął głową.

– Kiedy zadzwoniłeś i powiedziałeś, że to lincoln Gibsona, miałem nadzieję, że się mylisz – przyznał się Fletcher.

– A czy kiedykolwiek się myliłem?

Fletcher odchrząknął.

– Opowiadaj.

Vidic wzruszył ramionami

– Jechał dość wolno. Ostrożnie. Spotkałem go przypadkowo. Wracalem do bazy. On chyba też. Przez dwa kilometry jechał z tą samą prędkością. Pewnie i spokojnie, jak to on. Potem zobaczył mój samochód. Chyba nie wiedział, że to ja, bo nagle postanowił mnie zgubić. Przyspieszył, ale w złym momencie. – Ruchem głowy wskazał na wrak lincolna. – Skutek widać na załączonym obrazku. Ekspонат A.

– Mrugałeś światłami? Trąbiłeś klaksonem? Mógł pomyśleć, że chcesz się z nim ścigać?

– Nie. Po co miałbym to robić? Nie mam szesnastu lat.

– Więc dlaczego próbował cię zgubić? Ciebie czy kogoś, za kogo cię wziął.

Vidic znów wzruszył ramionami.

– Pewnie miał paranoję. Trudno się od niej opędzić. Zaczęło się po śmierci O’Connella, a od zniknięcia Bowery’ego jest jeszcze gorzej.

Fletcher milczał przez chwilę, w końcu spytał:

– Ten facet, który z nim jechał... Kto to jest?

– Nie wiem.

– Nie ma żadnych papierów?

– Nie.

– Ani walizki? Czy choćby plecaka?

– Miał tylko to. – Vidic wyjął zza paska pistolet. – Glock, siedemnastka. Służbowa broń FBI. Tłumacz to sobie, jak chcesz.

2

Fletcher i ten drugi odjechali pick-upem, a on został, żeby zająć się lincolnem. Chcąc zatrzeć ślady, które mogłyby ujawnić tożsamość kierowcy, zajrzał do schowka w desce rozdzielczej i do bagażnika, a potem skupił uwagę na jego fotelu. Zamierzał wytrzeć krew, lecz krwi nie było. Wyglądało na to, że siła uderzenia nie przebiła Gibsonowi skóry, a przynajmniej nie wtedy, kiedy jeszcze biło mu serce.

Vidic uśmiechnął się. To ułatwiało mu następne zadanie. Zerknął w prawo i zapamiętał miejsce na ramie drzwi, gdzie głowa wielkoluda zostawiła krwawy ślad. Wyjął z kieszeni nóż, zadrasnął czubkiem opuszkę lewego kciuka i wycisnął kilka kropel krwi na odpowiednie miejsce na ramie drzwi po stronie kierowcy, tylko kilka centymetrów niżej. Objął palcami kierownicę. Gałkę dźwigni zmiany biegów. Poprawił lusterko wsteczne. Pobawił się guzikami na panelu klimatyzacji i multimediiów. Wyjął z kieszeni

telefon, dwa razy sprawdził, czy właściwy, i wetknął go między fotele. Potem nacisnął pedał hamulca i przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik nie zapalił. System bezpieczeństwa musiał wyłączyć zapłon, kiedy samochód uderzył w drzewo. I przy odrobinie szczęścia odciąć dopływ paliwa. Vidic podważył nożem obudowę dźwigni zmiany biegów, wrzucił luz, otworzył drzwi i wysiadł.

Wsiadł do swojego samochodu, uruchomił silnik, podjechał do lincolna i pchnął go lekko w tylny zderzak. Lincoln przetoczył się kilka metrów i znieruchomiał. Vidic nacisnął mocniej pedał gazu i SUV potoczył się przed siebie trochę szybciej. Tym razem się nie zatrzymał i zaczął nabierać prędkości. W końcu nabrał jej tyle, że przebił barierkę i zniknął w ciemności po drugiej stronie.

Vidic wyskoczył z samochodu i podbiegł do wyrwy w barierce. Lincoln leżał piętnaście metrów niżej, na dachu, z wciąż obracającymi się kołami. Vidic stał i patrzył. Nie było wybuchu. Nie było ognia. Dla pewności odczekał dwadzieścia minut. Potem zadzwonił telefon. Znał ten numer. Odebrał.

– Hej, Paris. Co jest?

Odpowiedział mu kobiecy głos, niski, oschły i lekko drżący.

– To prawda? Gibson nie żyje?

– Tak, nie żyje. Kolejny poszedł do piachu.

– To był wypadek?

Nie odpowiedział.

- Słyszałam, że się rozbił. Skręcił sobie kark.
- Dobrze słyszałaś.
- Widziałeś, jak to się stało?
- Od początku do końca.
- Ktoś z nim jechał?
- Jakiś facet.
- Jaki facet?
- Autostopowicz, zupełnie niegroźny.
- Na pewno?
- Na pewno.
- Bo to trochę dziwne. Bowersy znika i nagle zjawia się jakiś tajemniczy gość, który zupełnym przypadkiem zabiera się samochodem z kimś z naszej ekipy.
- Przypadki się zdarzają.
- Może... Albo Bowersy'ego naszły wyrzuty sumienia.

I nas wsypał.

- Nie, to nie w jego stylu.
- Więc gdzie się podział?
- Myślę, że nas wykiwał. Dobił targu i zwiął z kasą.
- Ale po co? To kieszonkowe w porównaniu z tym, co mamy zgarnąć. Przecież wie, jaka jest stawka. Tylko wariat by teraz uciekł. Chyba że wiedział, że kolejnego skoku już nie będzie. A skąd mógł wiedzieć? Sam się o to postarał?
- Nie wydałby nas, nawet gdyby chciał. Nic na nas nie ma.
- Wie o raporcie.
- Ale nie ma kopii.

– Kopia mu niepotrzebna. Wie, co w nim jest. Może nie wszystko, ale wie. I wie, skąd go mam. To wystarczy, żeby wszyscy agenci ze wszystkich czterdziestu ośmiu stanów natychmiast wsiedli nam na kark.

– Spokojnie. Zaufaj mi. To, co się stało z Gibsonem, nie ma nic wspólnego z Bowerym. Ani z tym autostopowiczem.

– „To, co się stało z Gibsonem”? Więc to nie był wypadek?

Vidie milczał.

– Gibson był dobrym kierowcą. Znał tę drogę. I nie rozbiłby samochodu ot tak sobie. Więc jednak to nie był wypadek, tak? Powiedz prawdę, nie kombinuj.

– Był. I nie był.

– Kombinujesz.

– Posłuchaj, czegoś się o nim dowiedziałem. Dziś rano.

– Czego?

– Nie mogę powiedzieć. Nie przez telefon. Ale są konsekwencje.

– Jakie?

– Przede wszystkim musimy zmienić grafik.

– Jak zmienić?

– Damy sobie czterdzieści osiem godzin, maksymalnie. Potem znikniemy. Jakby nigdy nas nie było.

– To niemożliwe.

– Możliwe. Spakuj się. Weź tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Nie za dużo, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Został

tylko jeden skok. Raport opchniemy potem.

– Ale to dopiero za pięć dni. Wcześniej się nie da. Musimy poczekać na ostatnią dostawę.

– Nie. Weźmiemy to, co już tam jest. Osiemdziesiąt procent czegoś to lepiej niż sto procent niczego. Pogadam z Fletcherem. Namówię go, żeby przesunął termin.

– A jeśli nie zechce?

– To znikniemy.

– Nie chcę zniknąć. Nagrałam tę robotę. Wypatrzyłam okazję. Bardzo się zaangażowałam.

– Wiem, ale to nie jest wóz albo przewóz. Ta robota to czysty luksus. Musimy się skupić. Pomyśleć o przyszłości. O naszym życiu. A nie o tym, co zostawiamy za sobą.

Paris milczała.

– Muszę tylko coś domknąć. – Vidic spojrzał na wrak lincolna i pomyślał o dwóch mężczyznach, których z niego wyciągnął. O Gibsonie. I o tym dziwnym olbrzymie. Jeden był martwy. Drugi żył. Przynajmniej na razie. Znów przytknął telefon do ucha. – Będę potrzebował fosforu. Przywieziesz?

– Mogę spróbować. Ile?

– Tyle, żebym mógł spalić zwłoki. Doszczętnie. Odciski palców. Zęby. DNA. Ma zostać tylko popiół.

3

Znowu obudził go jakiś dźwięk. Tym razem odgłos otwieranych drzwi. Miał zamknięte oczy, lecz wyczuł światło. Najpierw przyćmione. Potem dużo jaśniejsze. Usłyszał kroki. Jednego człowieka. Były coraz bliżej i w końcu ucichły.

Powoli otworzył oczy. I zmrużył je w oślepiającym świetle. Zawroty głowy trochę ustąpiły, ale wszystko było blade i wypłowiałe, jak akwarela namalowana przez amatora, który źle dobrał farby. Stał przy nim jakiś mężczyzna. W dżinsach i szarym podkoszulku. Miał zaciśnięte pięści, jakby był zły albo wystraszony i próbował to ukryć.

– Nazywam się Darren Fletcher – powiedział. – A ty?

Reacher go zignorował. Jeżeli go obszukali, facet znał już jego nazwisko. A jeśli nie, to nie warto było strzępić sobie języka. Dlatego skupił się na otoczeniu. Szybko stwierdził, że jest przykuty do prostokątnego stalowego stołu. Podłoga była wyłożona białymi płytkami, a na ścia-

nach wisiały stalowe półki. Pomieszczenie wyglądało na spiżarnię albo na miejsce, gdzie przygotowywano posiłki. Natychmiast przeniósł wzrok z powrotem na Fletchera, bo na myśl o jedzeniu dostał mdłości.

– Sztuczka z uporczywym milczeniem? Nic ci nie pomoże. Nie rozumiesz powagi sytuacji. Ktoś zginął. Mój przyjaciel. Dlatego musisz powiedzieć, kim jesteś. Co robiłeś w jego samochodzie. I dlaczego odbiło mu do tego stopnia, że wpadł na drzewo.

Reacher nie pamiętał ani samochodu, ani wypadku, ani nikogo, kto by w nim zginął, lecz doszedł do wniosku, że jeśli się przyzna, osłabi to jego pozycję negocjacyjną. Dlatego rzucił:

– Rozkuj mnie. Wtedy ci powiem.

Fletcher pokręcił głową.

– Najpierw przekonaj mnie, że nie miałeś nic wspólnego z jego śmiercią.

Reacher milczał.

– Głupio robisz. Jeśli nie zaczniesz mówić, to cię zmuszę.

– Na pewno dasz radę? Bo widzę, że jesteś tu sam.

– Nie radzę sprawdzać. Wierz mi. Bądź rozsądny. Przekonaj mnie.

– I mnie rozkujesz?

Fletcher kiwnął głową.

– Masz kluczyk?

– Oczywiście.

– Pokaż.

Fletcher zawahał się.

– Nie. Po co?

– Żeby okazać dobrą wolę. Udowodnić, że dotrzymasz słowa.

Fletcher westchnął i wyjął z kieszeni mały srebrzysty kluczyk.

– Zadowolony?

– Jeszcze jedno. Rozkuj moją lewą rękę.

– Najpierw powiedz.

– Jest pewien problem. Mam złamany nadgarstek. Czuję, że puchnie. Kajdanki go uciskają. To poważna sprawa. Jeszcze trochę i będzie źle. Mogę stracić rękę.

Fletcher nie odpowiedział, ale nie schował kluczyka.

– Daj spokój – ciągnął Reacher. – Jest złamana. Co ci nią zrobić? Prawa i nogi będą skute, a ty masz kluczyk. Zdejmiesz z lewej kajdanki i pogadamy.

Fletcher znów się zawahał. Tak, pamiętał, że Vidic wspominał coś o złamanym nadgarstku. Ale Fletcher zawsze był ostrożny. Dlatego przełożył kluczyk do lewej ręki, wyjął zza paska glocka, którego dał mu Vidic, i podszedł bliżej z uniesionym pistoletem i palcem na spuście.

– Zrobisz coś nie tak i zastrzelę cię z twojej własnej broni.

Reacher nie miał pojęcia, dlaczego ten facet uważa, że glock należy do niego, lecz nie zamierzał tracić czasu na pytania i ograniczył się tylko do krótkiego:

– Jasne.

Wciąż celując mu w twarz, Fletcher nachylił się i włożył kluczyk do zamka kajdanek na lewym nadgarstku. Przekręcił go. Obręcz otworzyła się i po chwili uderzyła z brzękiem w nogę stołu. Fletcher stanął prosto. Pistolet wciąż trzymał w prawej ręce. Kluczyk w lewej.

Reacher spróbował skupić wzrok. Znów zaczynało kręcić mu się w głowie i wszystkie obrazy się rozdwajały. Skleił je siłą woli, błyskawicznie wyciągnął rękę i chwycił pistolet za lufę. Zadarł ją do góry, odgiął do tyłu i pchnął. Mocno, brutalnie. Nie przestawał pchać, dopóki nie przekręcił broni na bok, dopóki lufa nie wycelowała w pierś Fletchera. Jego palec utknął pod osłoną spustu. Był maksymalnie zakrzywiony, do granic możliwości. Reacher pchnął jeszcze mocniej. Puścił staw kłyckiowy. Kość rozewalała chrząstkę. Pękły ścięgna.

Fletcher przeraźliwie krzyknął, rozwarł palce i broń spadła na podłogę. Reacher chwycił go za lewą rękę, przyciągnął ją do piersi i ścisnął. Mocno. Fletcher wrzasnął.

Reacher zwiększył uścisk. Poczul, że kości i ścięgna zaczynają skręcać się i pękać. Fletcher zawył z bólu. I upuścił kluczyk.

Kluczyk spadł Reacherowi na pierś. Odbił się jak piłeczka, zawirował w powietrzu, zatoczył srebrzysty łuk i zniknął z jego pola widzenia. Reacher nie mógł śledzić trajektorii jego lotu. Wciąż widział jak przez mgłę. Wyobraził sobie, że kluczyk zsuwa się z błyszczącego stołu i spada

z brzękiem na podłogę. Gdyby tak było, równie dobrze mógłby spaść w Australii, bo on nic by z tego nie miał.

Nagle jednak coś poczuł. Coś jak muśnięcie nóżek motyla lądującego na jego prawym bicepsie. Wciąż nie widział, co to jest, ale Fletcher wyciągnął po to pokiereszowaną rękę. Reacher poruszył ramieniem i po jego boku zsunęło się coś twardego i zimnego.

Fletcher próbował się cofnąć. Sięgnął za plecy, za pasek. Miał tam drugi pistolet. Sig sauera. Wyjął go, lecz nie zdołał go utrzymać, bo nie mógł zgąć złamanego palca, i pistolet zaklekotał na podłodze. Wtedy Reacher puścił jego rękę i chwycił go za szyję. Wymacał jabłko Adama. Przesunął kciukiem w dół i w bok. Najpierw kciukiem, a potem środkowym palcem. A później wbił oba palce w ciało i zacisnął, miażdżąc tętnice szyjne. Fletcher znów zawył z bólu, zdrową ręką chwycił go za nadgarstek i gwałtownie pociągnął. Drapał go, szarpał, tarmosił, ale Reacher jeszcze bardziej wzmógł uścisk. Trzymał go tak pięć sekund. Sześć sekund. Fletcher wciąż się szamotał. Po siedmiu sekundach zaczął tracić siły. W ósmej jego mózgowi zabrakło tlenu. Osunął się do przodu, a kiedy Reacher cofnął rękę, upadł twarzą na jego pierś.

Reacher odczekał, aż uspokoi mu się serce i przestanie go wreszcie łupać w głowie, a potem grzmotnął go pięścią w skroń. Gdy nieprzytomny Fletcher zsunął się na podłogę, Reacher sięgnął po leżący obok kluczyk. Ostrożnie usiadł. Siedział przez chwilę, czekając, aż miną mdłości i zawroty

głowy, a potem zaczął zdejmować kajdanki. Robił to powoli, żeby kość nie zazgrzytała o kość. Najpierw uwolnił prawą nogę. Potem lewą. Później je spuścił i niepewnie stanął na podłodze.

Był w jedynych butach, jakie miał. Kupił je przed laty w Anglii. Obuwie pierwszej jakości. Kosztowne. Od nowości solidne i wytrzymałe. Z czasem skóra jeszcze bardziej stwardniała, od pogody i bezpardonowego używania. Czubki były teraz jak ze stali. Reacher odwrócił się i kopnął Fletchera w głowę. Częściowo po to, żeby facet nie odzyskał szybko przytomności. A częściowo dlatego, że wkurzał go ten złamany nadgarstek. I to, że przywleczono go tu wbrew jego woli. No i ta sprawa z kajdankami.

Obszukał mężczyznę lewą ręką. W kieszeniach znalazł pęk kluczy. Zabrał je, bo mogły mu pomóc w ucieczce i przysporzyć jeszcze większych kłopotów ich właścicielowi. Wziął też jego portfel, by sprawdzić, czy nie ma w nim jakichś dokumentów albo kart kredytowych, które chciał przejrzeć, gdy będzie lepiej widział. Potem podniósł z podłogi dwa pistolety, ostrożnie podszedł do drzwi i lekko je uchylił. Prowadziły do kuchni. Dużej, wyposażonej w urządzenia, których nie znał. Nie był ekspertem, ale doszedł do wniosku, że nie jest to kuchnia restauracyjna czy hotelowa, tylko należąca do dużego, prywatnego domu. Wszystko jedno, najważniejsze, że nikogo w niej nie było. W kącie po przekątnej zobaczył drzwi. Ruszył w tamtą stronę. Był już w połowie drogi, kiedy się otworzyły. W

lewej ręce miał pistolet. Uniósł go.

Do pomieszczenia wszedł jakiś mężczyzna. Przysadzi-
sty i przygarbiony, z dziwną, kanciastą głową.

Wszedł i znieruchomiał.

– Reacher? Po co ten pistolet? Chcę ci pomóc.

Reacher nie opuścił broni.

– A ty kto? – spytał.

– Przyjaciel. Wyciągnąłem cię z tego samochodu.

– Skąd wiesz, jak się nazywam?

– Znalazłem twoje rzeczy. Ukryłem je. Żeby tamci się
do nich nie dobrali. Mam je tutaj. – Mężczyzna wskazał na
kieszeń. – Dać ci je?

Reacher kiwnął głową.

– Tylko bez żadnych głupot.

Kanciasty wyjął jego nieważny paszport, kartę do ban-
komatu, kilka banknotów i składaną szczoteczkę do zębów.

– Minimum bagażu, co?

– Połóż na podłodze. I cofnij się.

– Nie ma czasu. Musimy się pośpieszyć. Ten facet z
rozbitego samochodu. Ten, który zginął w wypadku... Pa-
miętasz go?

– Nie.

– To mamy kłopot. Był agentem FBI. Kopnął w kalen-
darz, więc rozpęta się piekło. Zaroi się tu od gliniarzy. I od
agentów. Wszyscy będą szukali kogoś, na kogo będą mogli
zwalić winę za śmierć kumpla. I jeśli nie będziesz miał do-
brego wytłumaczenia, tym kimś będziesz ty.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).